

Obrońca zaś, dziwnie czujny na nastrój słuchaczy, odczekał, aż to uroczyste zapewnienie zrobi należyte wrażenie i spojrzawszy z pod oka na pana Foxa, który zaczynał wreszcie kręcić się niespokojnie, wrócił do dalszego badania. Zapytał teraz oskarżonego, dlaczego po znalezieniu pierścienia w trumnie Adeli, widząc, jakie z tego wysnuwają wnioski, nie objaśnił od razu postępu swego, nie wyjawiał, dlaczego rękę do trumny wkładał?

— Za co mnie nacie? — wybuchnął oskarżony szorstko po dawnemu. — Człowiek, który złoży taki ślub, w taki sposób i w takiej chwili, nie będzie o tem gadał, chyba że go zmuszą. Ja jeszcze teraz nie mówiłbym o tem...

Przewodniczący przerwał mu. Ale odstąpił się człowiek taki, jakim był, w tym pełnym uniesienia i gniewnym wybuchu; ten wybuch po poprzednim uroczystym zapewnieniu korzystniejsze na słuchaczach zrobił wrażenie, niż gdyby byli usłyszeli najłagodniejszą i najdyskretniejszą odpowiedź. Znać było zadowolenie na twarzach i w tej chwili w każdym razie, tak przysięgli jak słuchacze zaczęli powątpiewać o winie podsądnego.

Pozostawało naturalnie jeszcze do zbadania, kto ten pierścionek tam rzucił — czy niewinne dzieci, czy w żalu pogrążona służba — ale na razie jeszcze nie poruszano tego przedmiotu.

Obrońca badał dalej:

— Panie Cumberland, oświadczyleś pan, że sam nie wrzuciłeś pierścienia tam, gdzie go znaleziono. A czy możesz nam pan powiedzieć, kto to uczynił?

— Nie mogę. Nic nie wiem o tym pierścieniu. Zdziwiłem się bardzo, więcej może niż ktokolwiek, gdy się dowiedział, gdzie go znaleziono.

— Pan wyrzucił się „więcej może niż ktokolwiek”. Dlaczego? Dlaczego zdziwiło to pana więcej, niż kogokolwiek, że zaręczynowy pierścionek siostry pańskiej tam się właśnie znalazł?

Artur znów teraz z niezadowoleniem spojrzął na swojego obrońcę i dość ostro odpowiedział, choć z widoczną niechęcią:

— Jestem jej bratem. Mogłem mieć, jako brat, swoje antypatyje i swoje słuszne podejrzenia. Nie mogłem zrozumieć, jakim sposobem znalazł się tam pierścionek, skoro jedyny człowiek, interesowany w zwróceniu go, był w więzieniu.

Był to wyraźny strzał pod moim adresem. Na to zerwał się mr. Fox, prokurator i zażądał wykreślenia tego pytania. Nastąpił spór pomiędzy nim a obrońcą. Sąd przychylił się do opinii prokuratora i mr. Moffet musiał zaniechać dalszego w tym kierunku pytania. Ja jednakże zrozumiałem jasno, że cały ten epizod zachwiał moje stanowisko człowieka od podejrzeń uwolnionego.

Nastąpiła teraz chwila przerwy. Widać było, że mr. Moffet walczył z pewnym niepokojem. Przypatrzył się podsądnemu, a widząc, że jest spokojny i że panuje nad sobą, dotknął punktu, który, spodziewałem się, że on raczej ominie. Straszny lęk mnie ogarnął, nie tyle o Artura, ile o moją tajemnicę.

— Panie Cumberland — zaczął — wróćmy jeszcze do owej nocy, gdy siostrę pańską zamordowano. Czy może nam pan powiedzieć, jakie okrycie włożył pan wtedy, wychodząc z domu?

Artur widocznie niemniej się zadziwił i niemniej przeraził, jak ja. Zdziwienie, gniew i inne, jeszcze głębsze uczucie brzmiało w jego głosie, gdy odpowiadał:

— Nie mogę. Wziąłem pierwsze lepsze, które mi się nawinęło i pierwszą lepszą czapkę.

Nacisk, z jakim wymówił ostatnie słowa, miał pewnie służyć adwokatowi za przestrożę. Ale ten widocznie nie zważał na to wcale.

— Wziąłeś pan? Skąd pan je wziąłeś?

— Z wieszadła w sieni, na którym wieszam moje rzeczy. W bocznej sieni, prowadzącej do drzwi, które zwykłe wychodzimy.

— Czy posiadasz pan większą ilość okryć — to jest paltotów, płaszców?

— Mam ich kilka.

— A czy pan wiesz, który z nich włożyłeś na siebie w ową noc?

— Nie wiem.

— Ale pan wiesz zapewne, w którym pan wróciłeś?

— Nie wiem.

Krótko, ostro, grożąco brzmiała ta odpowiedź. Czuć było walkę pomiędzy tym człowiekiem a jego obrońcą i zdziwienie widać było na wszystkich twarzach. Być może, że mr. Moffet to widział; być może, że się tego lękał; pomimo to jednak ciągnął dalej:

— A więc pan nie wiesz, w którym wróciłeś?

— Nie wiem.

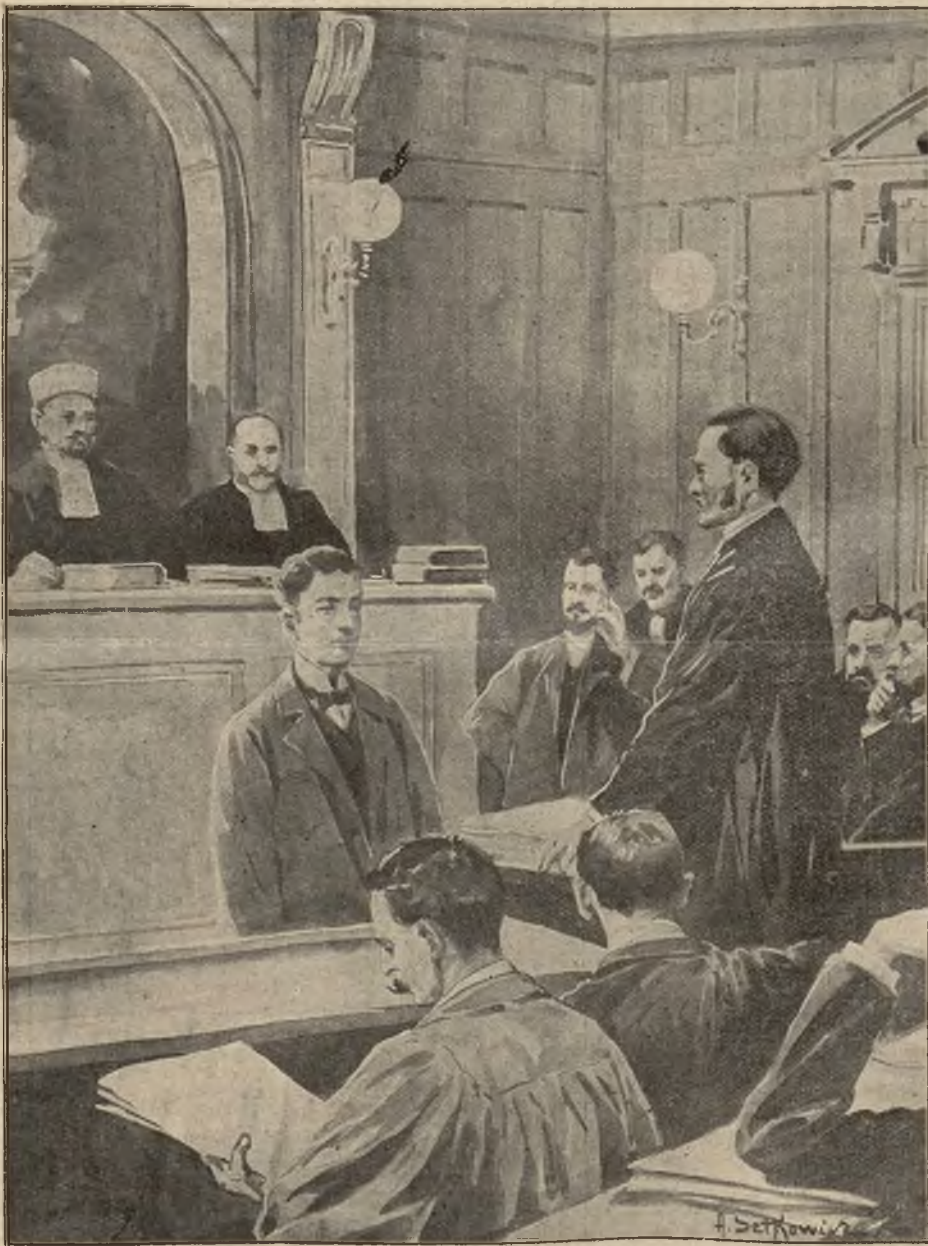
— Czy widziałeś pan czapkę i paltot, które tu pokazywano, a w których, jak zaprzysiężono, miałeś pan wrócić do domu nazajutrz po morderstwie siostry?

— Widziałem.

— A także i ten paltot i tę czapkę, powieszono na haku w schowanku pod schodami — z płamą z maki u spodu?

— Tak jest i to widziałem także.

— A jednak nie możesz pan powiedzieć, który z tych dwóch paltotów włożyłeś, wychodząc z domu w jaką godzinę po obiedzie?



Panie Cumberland, czy pan tylko czapkę i płaszcz zabrał ze sieni?

Złapany przez własnego obrońcę, widocznie, nie miłosiernie złapany! Artur zarumieniał się nagle, zarumienili się i inni obecni prawnicy. Nawet mr. Fox zdradził zdziwienie — zdziwienie i pewien niepokój. Mr. Moffet musi być bardzo pewien siebie, jeżeli tak śmiało ryzykuje... Obejrzałem się na Ellę, ale na jej twarzyczce nie znalazłem wyjaśnienia, tak jak i na oburzonej twarzy Artura. Poruszenie, wywołane tem zdarzeniem, spowodowało krótką przerwę, z której skorzystał, by się nieco opanować; gdy jednakże przemówił, mówił gwałtownie, choć widać było, że stara się pohamować:

— Nie mogę. Byłem w takim usposobieniu, że nie uważałem na nic. Spieszyłem się do miasta i zeszedłszy ze schodów, poszedłem prosto do wieszadła i wziąłem stamtąd to, co było pod ręką.

Mr. Moffet, wciąż zdenerwowany, wciąż unikając wzroku obwinionego, pytał dalej, jak gdyby nie uważał, że oskarżonemu wychodzi to na szkodę.

— Panie Cumberland, czy pan tylko czapkę i płaszcz zabrał ze sieni?

— Nie. Wziąłem także klucz jeden, klucz z pęka kluczy, które leżały na stole.

— Czy pan poznał ten klucz?

— Tak jest.

— Co to był za klucz?

— Ten klucz należał do pana Ranelagh'a i był to klucz od klubowej piwnicy z winem.

— Co pan z nim zrobiłeś, wzięwszy go?

— Włożyłem go do kieszeni.

— A potem co pan zrobiłeś?

— Wyszedłem, naturalnie.

— Nie zobaczywszy się z nikim?

— Naturalnie. Z kim miałbym się zobaczyć?

Powiedział to gniewnie, a rumieniec, który już zaczął przygasać, znowu rozpałił mu się na twarzy.

— Czy gotów pan to powtórzyć, że nie widział się pan z nikim?

— Nikogo tam nie było.

Kłamstwo! Wszyscy to wiedzieli, wszyscy to czuli. Ten człowiek kłamał, pod presją własnego obrońcy, którego widocznie ostrzegał, by unikał tego punktu. Byłem tego pewien, widząc, że Moffet unikał spojrzenia Artura, gdy pytał spieszenie dalej:

— Z pańskiego domu do miasta wyjść można dwiema drogami. Którą drogę pan obrałeś?

— Krótszą. Poszedłem przez posiadłość mojego sąsiada do ulicy Huested Street.

— Czy zaraz pan poszedłeś?

— Jak mogłem najprędzej. Nie wiem, co pan rozumie przez „zaraz”.

— Czy pan nie wstępował do stajni?

Chwila milczenia. Ludzie wstrzymywali oddech. Takie pytania właściwymi byłyby w ustach prokuratora. Ale ze strony własnego obrońcy? Co miało znaczyć to wszystko?

— Owszem, wstąpiłem do stajni.

— W jakim celu?

— Jeden z koni zakulał. Chciałem się przekonać, jak się koń miewa.

— Czy chodziło tu o siwą klacz?

Czy istotnie obrońca wziął na siebie rolę prokuratora? Tak by się zdawało. Sytuacja tak była nęcająca, że mr. Fox nie mógł pohamować ochoty zwrócenia na nią uwagi. Z miną pełną względności przechylił się i szepnął do najbliższego kolegi, dość głośno jednak, by wielu usłyszało:

— Oskarżony chyba wie o tem, że nie jest obowiązany odpowiadać na pytania, które dążą do obciążenia go!

Piorunujące spojrzenie, rzucone w jego stronę, było jedyną odpowiedzią wymownego adwokata.

Artur jednakże, podniecony, odpowiedział na stawione mu pytanie szybko i głośno:

— Nie o siwą klacz chodziło, ale zanim wyszedłem, podszedłem też i do siwej klaczy, poklepałem ją i powiedziałem jej parę słów.

— Gdzie się ona wtedy znajdowała?

— Tam, gdzie było jej miejsce. W stajni, w swojej zagrodzie.

Mówił teraz ciszej, niżej opuścił podniesioną przedtem głowę. Już się ku niemu ogólna sympatya nie kierowała. Już mu nie wierzono tak, jak pierwsi. Korzystne wrażenie pierwszych zeznań rozwiało się prawie doszczętnie.

Mr. Moffet jednakże uśmiechnął się. Widząc to, widząc jego zadowolenie, poczułem wielki niepokój. Ten ceniony adwokat, głośny w tylu sprawach, nie obawiał się wykryć tego, że Artur zaprzęgał siwą klacz; chciał nawet, żeby o tem wiadano. Dlaczego?...

Sam już nie wiedziałem, co o tem sądzić, gdyż zaraz porzucił ten przedmiot i zapytał poprostu Artura, czy wychodząc, zamknął drzwi od stajni.

— Tak... nie... nie pamiętam — brzmiała niepewna, chwiejna odpowiedź.

Mr. Moffet spojrzął na przysięgłych, wciąż jeszcze z uśmiechem na ustach. Czy chciał zwrócić ich uwagę na zakłopotanie swego klienta?

— Niech pan opowie, co dalej nastąpiło. Jestem pewien, że sędziowie to chętnie z własnych ust pańskich posłyszają.

(Dalszy ciąg nastąpi).